

# BIESZCZADY W PRL-u 3

Krzysztof Potaczała





Krzysztof Potaczała

# **BIESZCZADY W PRL-U**

Część trzecia



**BOSZ**

Wydawnictwo BOSZ  
Biuro: ul. Przemysłowa 14, 38-600 Lesko  
tel. +48 13 469 90 00, faks +48 13 469 61 88  
[biuro@bosz.com.pl](mailto:biuro@bosz.com.pl)  
[www.bosz.com.pl](http://www.bosz.com.pl)

# Spis treści

Od Autora	7
Ranczo w Wilczej Dolinie	9
Na granicy sierpa i młota	17
Wertepami przez Bieszczady	29
Wojsko idzie, wojsko śpiewa	37
Drelichowa ZK armia	45
Z życia leśnych ludzi	59
Obrazki z poplątanych ścieżek (2)	67
Opowieść o Pulpicie	75
Zwierzyniec na połoninie	81
Pióra przeciw władzy	93
Komuno, wróć...	105
Tęcza nad Tworylnem	113
Literatura	127



# Od Autora

O Bieszczadach – tych dawniejszych i tych współczesnych – napisano już wiele. Autorzy na rozmaity sposób starali się pokazać ich urodę, magię, a także to, co w nich szare, brzydkie, zniszczone. W małym wycinku próbowałem i ja. Dwa poprzednie tomy *Bieszczadów w PRL-u* są Czytelnikom – mam nadzieję – znane. Z taką samą nadzieją oddaję do ich rąk ostatni, trzeci tom.

Niektóre zawarte w nim fragmenty wychodzą nieznacznie poza peerelowski czas. Bo przecież mentalnie, środowiskowo, gospodarczo od razu Bieszczady się nie zmieniły. Jeszcze przez lata po przemianach polityczno-ustrojowych tkwiły w minionym systemie, a i dziś z łatwością można odnaleźć ślady słodko-gorzkiej przeszłości.

Nie da się opowiedzieć o wszystkim – i taki sposób, żeby zadowolić wszystkich. Ta złożona z dwunastu rozdziałów książka to pewien osobisty wybór (jak uprzednio) opowieści o wydarzeniach, które – w moim przekonaniu – zasługują na przypomnienie. Oraz o ludziach, bez których Bieszczady byłyby uboższe: historycznie, społecznie, kulturowo.

Nie zawsze jest poważnie, bo i być nie powinno. Jak w życiu. Jeśli ktoś przez chwilę się pośmieje – będzie mi miło. Tak samo, jeśli się wzruszy lub kiedy nim z lekka zatrzęsie. Bo nie zgodzi się z taką lub inną opinią, nie we wszystko uwierzy, a może mu się PRL odbije czkawką.

Ważne, że zareaguje.

*Krzysztof Potaczała*

Krzysztof Potaczała – dziennikarz i reporter. Publikuje na łamach prasy regionalnej i ogólnopolskiej. W 2010 roku ukazała się jego książka *KSU – rejestracja buntu*, za którą otrzymał nagrodę Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. W 2012 roku opublikował pierwszą, a w 2013 roku drugą część zbioru opowieści i reportaży *Bieszczady w PRL-u*. Obydwa tomy były nominowane do nagrody „Książka Historyczna Roku” – konkursu organizowanego przez Polskie Radio, TVP oraz Instytut Pamięci Narodowej. Mieszka w Ustrzykach Dolnych.





# Ranczo w Wilczej Dolinie

Przez trzy miesiące mieli pasać bydło, myć się w strumieniu, spać pod pałatką, walczyć z rojami bąków i gzów. Pewnych siebie przybyszów witało ostrzeżenie: „Zastanów się, możesz jeszcze wrócić”. Szylid nie kłamał. Za nieposłuszeństwo karano chłostą.

„W sercu dzikich Bieszczad, z dala od kolei i uczęszczanych dróg, leży dolina. Wokół góry zarosłe gęstym lasem, środkiem płynie rwący potok Kalniczka” – pisał latem 1959 roku dziennikarz tygodnika „Dookoła Świata”. I dodawał, że właśnie tutaj powstaje niezwykle ranczo, główna kwatery Klanu Kowbojów i Trampów.

Kto wymyślił tę akcję, rzucił wyzwanie zachłannym na przygodę studentom, by sprawdzić, czy mocni są tylko w gębie, czy także w praktyce? I czemu miał służyć ten przedziwny projekt, w myśl którego ludzi w większości niewiedzących nic o hodowli i gospodarce wiejskiej miano zmienić w pastuchów? – Pomysł był dziełem redakcji czasopisma „Dookoła Świata”, a powstał we współpracy z Rzeszowskim Zjednoczeniem Przemysłu Mięsnego, dostarczycielem bydła – pamięta Tadeusz Zajac, podówczas student pierwszego roku leśnictwa w Poznaniu.

Tydzień w tydzień ukazywały się ogłoszenia o naborze chętnych do wyjazdu w Bieszczady, a odzew na nie był ogromny. Każdy mól książkowy, gryziپیórek, przyszły inżynier albo lekarz gotów był zmienić uczelniany strój na łachy, zawiązać sobie chustkę na szyi, wdziać gumki i zostać kowbojem.

Bieszczady kusily, ale nie każdy mógł dostąpić zaszczytu wypasania krów. „Nie wystarczy mieć ukończone osiemnaście lat, kochać przygodę, konie, las i góry. Praca kowboja nie jest ciężka, ale za to odpowiedzialna. Klan kowbojów liczy więc na: silnych, odważnych, obowiązkowych, zaradnych, koleżeńskich” – komunikował popularny tygodnik. Zdechłaków od razu odrzucano, choć podobno zdarzało się, że po wielokroć pisali listy z prośbą o przyjęcie do elitarnego grona pastuchów. Niektórzy stawiali się nawet osobiście w siedzibie czasopisma, by naocznie zaświadczyć, że chociaż na moczary nie wyglądają, to mają niezłomny charakter i żadna przeciwność ich nie pokona.

Tadeusz Zajac wspomina, że on sam też nie przypominał kulturysty, jednak przyjęto go na wypasy, ponieważ w zgłoszeniu napisał (zgodnie z prawdą), że jako licealista przeszedł Bieszczady wzdłuż i wszerz. Takie doświadczenie się liczyło – mogło być przydatne w razie konieczności sprowadzenia bydła do rancza najkrótszą drogą czy też poszukiwania zagubionego w rozległym masywie Chryszczatej kompana od pilnowania krów.

Ale równie chętnie w gronie pastuchów widziano ludzi wesołych, z poczuciem humoru, fantazją (w granicach rozsądku) oraz umiejętnością gry na gitarze lub

akordeonie. W „Dookoła Świata” pisano, że dla ponuraków, malkontentów i pesymistów nie ma miejsca w Wilczej Dolinie, ranczo stoi jednak otworem nie tylko dla zatrudnionych w ramach akcji, lecz również dla tych, którzy wejdą do Klanu Trampów. Bez względu na wiek i płeć. „Dla turystów wędrujących przez Bieszczady przeznaczamy wioskę namiotów w pobliżu głównej bazy, można tu się będzie zatrzymać nawet na dłuższy okres (...), obserwować życie kowbojów. Pamiętajcie, że okoliczne lasy obfitują w grzyby, maliny, borówki, a potoki w ryby. W sezonie znajdzie się dla was praca przy sianokosach – będzie to okazja do zasilenia waszych zasobów finansowych”.

Zając trafił na sierpniowy wypas wraz z kolegą z roku. Najpierw dojechali pociągiem do Rzepedzi, a stamtąd pomaszzerowali do Kalnicy – tą samą wyboistą drogą, którą pędzono wcześniej bydło ze stacji w Szczawnem-Kulasznm. – W centralnej bazie przyjął nas Jeremi Maruszewski, szef Rancza Wilcza Dolina, najważniejszy kowboj, dawny ułan. To on przydzielał ludzi do pilnowania stad w terenowych bazach w Choceniu, Sukowatem, Serednim Wielkim i Kamionkach oraz zapoznawał z przepisami. Przed jego kwaterą sterczały resztki spalonego drzewa, na którym nasi poprzednicy zawiesili końską czaszkę. Dwie godziny później wraz z kumplem byliśmy już w Kamionkach, około dziewięciu kilometrów od Kalnicy, na zupełnym pustkowiu. Trafiło tam również dwóch chłopaków z Warszawy, chociaż nie studentów.

Jednym z nich był Michał Jabczyński, uczestnik powstania warszawskiego, później silnie zaangażowany w działalność harcerską w Bieszczadach. – Z Tadeuszem od razu przypadliśmy sobie do gustu i ta przyjaźń przetrwała do starości – rozrzewnia się, wspominając, jak galopowali na koniach po rozległych pastwiskach pod Chryszczatą i wyśpiewywali kowbojskie piosenki. – Jak to szło? „Gdzieś po preriach, po bieszczadzkich, mknie gromada chłopców chwackich, konie śmigłe mkną, to kowboje są...”. Słowa ułożył Jabczyński, było ich znacznie więcej, jednak niespisane, z czasem skryły się w zakamarkach pamięci.

– Te nasze konie to były chabety, no ale nas i tak cieszyły – uśmiecha się Tadeusz Zajac. – Dostaliśmy do nich siodła, chociaż częściej jeździliśmy na oklep, żeby jeszcze bardziej podkreślić, jacy to jesteśmy wprawieni. Nosilem na szyi zawiązaną zawadziacko apaszkę i to już wystarczało za atrybut pastucha. Nie takiego zwykłego, co pasie krowy na łące koło domu, ale bardziej amerykańskiego, który ma pod sobą setki sztuk bydła, odpowiada za wielki majątek, musi się natrudzić, przemoknąć, przemarnąć, lecz przez to właśnie jest bardziej męski. Nie jęczy z byle powodu, tylko rozpala ognisko i piecze chleb albo kawałek słoniny, a wszystkie niedogodności rekompensuje mu przyroda – wtedy jeszcze nieujarzmiona. Zachwycałem się nią każdego poranka i każdej bezsennej nocy pod dziurawym namiotem.

Budzili się o czwartej – bez względu na aurę i samopoczucie. Trzech wypędzało bydło z prowizorycznej zagrody i gnało na pastwiska, jeden zaś zostawał w bazie, by podreperować połamane miejscami ogrodzenie, posprzątać obejście, przygotować w szerniałym od ognia garnku ciepłą strawę. Żeby kamraci, kiedy wrócą

Kowboje pędzą bydło na wypas

Fot. ze zbiorów Mariusza  
Merskiego



o zmierzchu – zmęczeni, wysmagani wiatrem, wypłukani deszczem, z przyschniętymi do kręgosłupa żołądkami – mogli zaspokoić głód. Zwykle była to podgrzana konserwa wieprzowo-wołowa, kupiona w sklepiku w Kalnicy lub przy okazji większych zakupów w Baligrodzie. Nic wielkiego, ale z dodatkiem cebuli i czosnku, doprawiona słuszną ilością pieprzu, pachniała i smakowała niczym świeża cielęcina. Jak twierdzą ludzie zaprawieni w pracy na powietrzu, a już najbardziej w lesie, każda, nawet najprostsza potrawa spożyta w takim miejscu i okolicznościach nabiera głębszego znaczenia oraz wyjątkowych właściwości, niemożliwych do uzyskania w warunkach domowych.

Wychodzili więc świtem z połatanego namiotu, uzbrojeni w kije i noże wsiadali na swoje chabety i pędzili bydło w skąpane w rosie wysokie trawy. A trawy wtedy były ogromne, nie do przejedzenia nawet przez dwukrotnie większe bydłęce stada; trawy ciągnące się kilometrami przez wyludnione po wojnie wsie, pochłaniające wszystko, co po tych spalonych siołach zostało. Brnęli zatem przez to zielone morze, atakowani przez zajadłe gzy, łykając ulatujące z zielska nieprzeliczone pyłki, smarkając wprost na ziemię, kurząc papierosy, dusząc się od kaszlu i ucinając sobie pogawędki o dziewczynach spotkanych na zabawie gdzieś w okolicznej remizie.

– Byliśmy młodzi, ciągnęło nas na piwo, na tańce – opowiada Tadeusz Zajac. – Ale umieliśmy być cierpliwi i się dzielić. Jak dwóch szło do Baligrodu na pohulanekę, to dwóch obowiązkowo zostawało w ranczu. Tydzień później następowała zmiana w grafiku. Tak samo radzili sobie studenci w innych bazach Wilczej Doliny.

Ktoś powie, że pasienie krów to żadna filozofia, ale gdy ma się do upilnowania czterysta lub pięćset sztuk bydła – sprawa wygląda zgoła inaczej. Wtedy, w 1959 roku, bieszczadzkie lasy pełne były wilczych watah, które rozpleniły się jak zaraza. Ówczesny pastuch Zajac, student leśnictwa i początkujący myśliwy, wiedział o tym aż nazbyt dobrze. Zauroczony górską przyrodą, bacznie obserwował życie fauny, umiając odczytywać pozostawione przez drapieżniki tropy i ślady ich krwawych uczt. – Nocami



W takich prowizorycznych zagrodach trzymano nocą stada, a dla bezpieczeństwa przed wilkami palono ogniska

Fot. ze zbiorów Mariusza Merskiego

z zagrody widziałem tylko jarzące się jak żarówki ślepia. Wilki obserwowały teren, badały okolicę, węszyły, kiedy i z której strony najlepiej zaatakować nasze stado. Niepokojne, wyczuwające zagrożenie bydło coraz głośniej wtedy ryczało, potrącało się, a gdy wataha przypuszczała atak, zaczynała się kotłowanina. Wokół ciemno, że oko wykol, ledwie jakaś lampa naftowa zawieszona na haku w namiocie i ze dwie gospodarcze na zewnątrz, nie ma z czego wystrzelić na postrach. Mogliśmy tylko liczyć na to, że wilki zadowolą się jedną sztuką, choć przeważnie zagryzały kilka, a jedną zaciągały w zarośla. Rankiem odnajdywaliśmy już same resztki. Drogę do nich wskazywały nam krążące nad padliną kruki.

Bydło nie ginęło tylko przez wilki. Tam, gdzie wypasali Zając i Jabczyński, były dawniej ludzkie gospodarstwa. I nawet jak zawały się domy, to zostały stare studnie. Do takich studni, ukrytych w gęstych zaroślach, niewidocznych z kilku metrów także dla człowieka, wpadały niekiedy mniej ostrożne krowy. Łamały nogi i rzadko kiedy przeznaczano je do leczenia; takie sztuki zazwyczaj dorzynano – żeby się nie męczyły i nie były obciążeniem dla kowbojskiego klanu.

– Znacznie więcej bydła ginęło jednak przez pospolitych złodziei – pamiętają dawni ranczerzy. – Przy takich ilościach krów nie od razu dało się zauważyć, czy są ubytki. A kiedy się orientowaliśmy, skradzione sztuki już dawno stały u kogoś w prywatnej oborze. Nawet w samej Kalnicy, pod nosem głównej bazy Wilczej Doliny, mieszkali ludzie, którzy parokrotnie bydło pod osłoną nocy kradli, przeprowadzali do Mchawy lub Baligrodu i sprzedawali. Z tego był niemały pieniądz, więc wkrótce takich szajek pojawiło się kilka. Kiedyś doszło nawet do krwawej potyczki dwóch złodziejskich grup – w ruch poszły sztachety i noże, a parę osób odwieziono do szpitala.

Krowy z tego rancza uprowadzono i przeganiano przez góry także na czechosłowacką stronę. Najgłośniej komentowano kradzież kilkudziesięciu sztuk, które kowbojom-studentom zwinęli górale spod Nowego Targu, wypasający owce w sąsiedniej wiosce. Podobno wzięli za to od słowackich chłopów worek pieniędzy. Potem tygodniami pili na umór, włóczęąc się po okolicy, aż ich w końcu przydybano w jakiejś chałupie w Wiśłoku Wielkim. Po skradzionym bydle ślad jednak zaginął.

Najgorszy był deszcz. Nie skwar, spiekota taka, że zwierzęta na pastwisku ryczały o litość, a pastuchom ćmiło się w oczach – ale właśnie deszcz. Bywało, że kiedy już w Bieszczadach zaczęło padać, lało nieustannie przez tydzień albo dłużej, i to tak, jakby się niebo rozgniewało. Wystarczyły dwa dni rześkiego deszczu, a wysłużone namioty, w których kwaterowali kowboje, do szczętu przemakały, ustępując strugom wody zalewającej ich posłania, sprzęty, odzież, naczynia. – Brodziliśmy w wodzie po kostki, wyżymaliśmy mokre ubrania, marzliśmy, ale żaden z naszej czwórki z Kamionek nie zamierzał rezygnować – mówi z dumą Tadeusz Zajac. – Bo po deszczu, nawet najdłuższym, zawsze w końcu wychodziło słońce, a wtedy świat nabierał przyjaznych barw. Znowu mieliśmy ochotę śpiewać i pracować, jakby na nowo odkrywając, że być może przeżywamy przygodę życia, że nigdy więcej coś takiego nam się nie przydarzy.

Wielka musiała to być dla młodych sprawa, skoro na zamieszczony w „Dookoła Świata” anons o letnich wypasowych turnusach odpowiedziało przeszło dwa tysiące kandydatów. Tymczasem do pracy potrzebowano zaledwie kilkudziesięciu ludzi. Mogli nazywać się szczęściarzami, choć zdarzało się, że z każdego miesięcznego turnusu chyłkiem uciekało po paru dniach trzech–czterech chłopaków. Nie wytrzymywali surowych warunków albo też nie umieli funkcjonować w grupie, gdzie obowiązywała zasada: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

W lipcu 1959 roku ranczo w Wilczej Dolinie odwiedził reporter „Nowin Rzeszowskich”. Był pod wrażeniem kowbojskiej farmy, ilości wypasanego bydła, entuzjazmu studentów i ich kolegów po zawodówkach, z techników i liceów. Dostrzegł jednak i ciemniejsze strony. „Ci, którzy przybyli tu [do Kalnicy] pierwsi, nie mieli łatwego życia. Budynki były częściowo zdewastowane, kuźnia i stelmacharnia stały bez dachu, pomieszczenia zanieczyszczone, a w niejednym oknie brakowało szyb. Nie było na czym spać, co jeść i na czym gotować. Gdy w dodatku zaczęły padać deszcze i po słynnym bieszczadzkiem błocie trzeba było pędzić do Doliny nadchodzące do stacji w Szczawnem stada bydła, paru załamało się i wykupiło bilety powrotne do domów. Załamali się, bo oczekiwali przygody, a znaleźli ciężką i trudną pracę. Myśleli, że czas spędzą, uganianając się na koniu z lassem w rękę, a tu kazano im budować zagrody dla bydła. W marzeniach widzieli siebie, jak z wysokości końskiego grzbietu będą zamawiać piwo w gospodzie GS w Komańczy [trzech próbowało wjechać do knajpy na koniach, ale okazały się za duże – KP], a nie wzięli pod uwagę, że ich praca zaczynać się będzie o 3.30 rano, zaś kończyć o zmroku”.

Lecz w każdej grupie są przecież liderzy, osoby nieulegające łatwo nastrojom, niezalamujące się byle przeciwnościami. I tacy znaleźli się w Wilczej Dolinie już od pierwszego turnusu. To oni ciągnęli za sobą innych, podtrzymywali na duchu, kiedy – jak notował reporter „Nowin” – „(...) nie dojada się, bo kucharze tak spitaszą jedzenie, że nawet kowbojski kundel nie chce się go tknąć (...). Prawdziwi kowboje nie narzekają, u nich wbrew trudom i chwilowej niepogodzie króluje śpiew i humor: »Choć na łące koni chwytać nie potrafię, no i strzelać po mistrzowsku tak jak John!«” – wykrzykiwali

z uśmiechem. Piosenka zawsze pomagała – była towarzyszem doli i niedoli, poprawiała najpodlejszy nastrój i wciągała nawet najbardziej milczących.

Jednym z tych, którzy wypasali bydło w rejonie Kalnicy, był Maciej Syrokomla. Po latach z Kanady pisał do przyjaciela w Bieszczadach: „Sierpień 1959 roku wydawał się krótki, ale był to kamień milowy, szkoła życia, której nigdy nie zapomnę (...). Możesz mnie posądzać o sentymentalizm, ale wydaje mi się, że Kalnica była ważnym momentem życia dla każdego, kto tam mieszkał i pracował, pił wódkę u Lisa – bo nic poza wódką i sardynkami nie było – chodził cały dzień w gumowcach, ale nie dlatego, że w sklepiku brakło sznurowadeł... Spotykałem później niektórych naszych towarzyszy. Drogi ich potoczyły się różnie. Dwóch zostało asystentami na Wydziale Geografii Uniwersytetu Warszawskiego, jeden zajął się filmem dokumentalnym. Ja po skończeniu etnografii pracowałem w różnych miejscach: jako nauczyciel angielskiego, w Orbisie, w Centrali Handlu Zagranicznego, w ambasadzie. Od kilku lat jestem kierownikiem biblioteki na Wydziale Historii Sztuki Uniwersytetu Torontońskiego”.

Maciej Syrokomla przypomina w liście kilka anegdot z pobytu w Wilczej Dolinie. Przynajmniej tę jedną warto przytoczyć: „W jakiś czas po wyjeździe z Kalnicy dowiedziałem się, że niektórzy nazywali mnie – wprawdzie niezbyt ładnie, ale pamiętliwie – Indianin Srająca Stopa. Z perspektywy czasu naprawdę trudno mieć o to pretensję”.

W jednym z numerów „Dookoła Świata” zamieszczono szczegółowy opis pożądanego kowbojskiego stroju: „Trampki. Spodnie, zwane džinsami, farmerami lub dunkrami. Szczytem elegancji będzie rozcięcie džinsów od dołu po zewnętrznej stronie do połowy łydki, zrobienie dziurek (obdzierganie rozcięcia i dziurek) i sznurowanie, które w dni pogodne powinno być ku dołowi coraz luźniejsze, ukazując kolorową (najlepiej flanelową) podkładkę, którą podszyjecie pod rozcięcie. Czarny sweter z rękawami (na czas chłodu) lub kolorowa kraciasta koszula. Czerwona chusta na szyi (jak u Zane’a Greya), może być z frędzlami, z naszytym Znakiem Wilka. Słomkowy lub filcowy kapelusz z szerokimi skrzydłami”. Bieszczadzcy kowboje ubierali się w kraciaste koszule, kamizelki, kapelusze, apaszki, gumki – ale raczej nikt nie był odziany od stóp do głowy tak, jak sobie tego życzyła redakcja czasopisma. Na przykład Syrokomla przystrajał się niekiedy we własnoręcznie uszyty strój indiański (stąd jego pseudonim). Inni też wymyślali odzienie wedle upodobania – i to służące do codziennych zajęć, ale i takie na wyjściowe okazje.

Wilcza Dolina miała regulamin. Nie tolerowano lenistwa, pijaństwa, wykorzystywania słabszych, samowolnego opuszczania pastwiska, lekceważenia obowiązków na farmie. – Każdy nowo przybyły pastuch był instruowany osobiście przez Jeremiego Maruszewskiego – tłumaczy Tadeusz Zajęc. – Tyle że rygor panował jedynie w centralnym ranczu, natomiast terenowe funkcjonowały luźniej. Jak wszędzie, gdzie szef nie stoi nad głową, nie opieprza i nie rozlicza cię z każdej minuty. My w Kamionkach potrafiliśmy się dogadywać, dlatego nigdy nie mieliśmy kłopotów dyscyplinarnych.

Ale mieli je inni. Głośno o tym się nie mówiło, jednakże kiedyś poza opłotki rancza wydostała się niewiarygodna naówczas informacja, że sztab w Wilczej Dolinie stosuje

wobec najbardziej niepokornych pastuchów karę... chłosty. Nie wiadomo, ilu młodych kowbojów musiało ze wstydem odsłonić pośladki, by egzekutor mógł wymierzyć baty, z pewnością jednak takowe publiczne przedstawienia miały miejsce. – Opowiadał mi o tym znajomy, który spędził trochę czasu w Kalnicy – śmieje się Henryk Victorini, jeden z pionierów bieszczadzkiego osadnictwa z lat pięćdziesiątych. Wtórjuje mu Tadeusz Zajac: – Pewnego razu musiałem się stawić na farmie w Kalnicy. Zajechałem na koniu na główny plac i wtedy moim oczom ukazał się przedziwny widok: batem skręconym z lejc ktoś okładał goły tyłek „skazanego” na cielesną karę faceta. Po czym ten wstał i bez najmniejszego grymasu poszedł w swoją stronę. Bolało go jak cholera, ale nie chciał wyjść na mięczaka.

Za przygodę się nie płaci, za pracę – owszem. Na ogół za miesiąc pasienia bydła zwiezonego do Wilczej Doliny przez Rzeszowskie Zjednoczenie Przemysłu Mięsnego wypłacano tysiąc dwieście złotych. Jak dla uczniów i studentów kwota niczego sobie. Na przykład Zajacowi wystarczyła na trzymiesięczne utrzymanie w Poznaniu i jeszcze co nieco odłożył na czarną godzinę. Mógł, ponieważ pracował na farmie półtora miesiąca i zarobił kilkaset złotych więcej. Nie żeby nie chciał wcześniej odpocząć, ale skoro było porozłaziło się po lasach, poginęło w niewyjaśnionych okolicznościach i ślad po nim się urwał – został zobowiązany do poszukiwań. Spośród wypasanych w sierpniu we wszystkich terenowych ranczach tysiąc trzystu sztuk rzeźnych krów początkiem września brakowało aż... czterystu.

– Codziennie uganiałem się po najbardziej zapadłych dziurach, przeczesałem lasy aż po szczyty Chryszczatej, zaglądałem do starych studni, schodziłem do wąwozów. Jeszcze dwa tygodnie po zakończeniu wypasów w jarach odzywały się cielaki. Ale dużo byczków przepadło, pokradli je gospodarze z wiosek położonych po obu stronach Kalnicy, wykorzystując fakt, że i tak w tym zamieszaniu nikt im niczego nie udowodni.

Los zwożonego w Bieszczady bydła był niekiedy przejmujący. Oto relacja Stefana Bonara i Jerzego Woydyły z „Dookoła Świata”: „Kiedy przyjechaliśmy w lipcu, w dolinach były 42 stopnie w cieniu. Istne piekło. Przechodziliśmy obok przerzutowej zagrody rancza pod Szczawnem – tutaj krowy czekają zwykle na drogę do Kalnicy albo na wyjazd do rzeźni. Zagroda to po prostu duży kawał zbocza schodzącego ku rzece, zamknięty zbudowanym przez chłopów płotem z drągów. Stało tam stado złożone z kilkunastu krów. Ziemia zryta kopytami, już bez trawy, zeskorupiała na kamień. Krowy, oblepione tysiącami wielkich, złośliwych much, wessanych w skórę, skrwawione, niezdolne nawet ogonem machnąć. Jedna z krów leżała na ziemi, zdychając już, pieczona żywcem, oblepiona zaschniętym błotem i krwią. Nie było wiadra, żeby ją napić, oblać wodą... Nałamaliśmy gałęzi, przykryliśmy zwierzę zielenią. Boss Jarema i kierownik gospodarstwa, przysłany (wreszcie) przez Zjednoczenie dopiero w lipcu, patrzyli z żalem. Kierownik Łanowy powiedział: – Macie nóż? – Andrzejek klepnął się po wielkim nożu, zwisającym na luzno u pasa, jak pistolet u westmanów filmowych. – Jeśli do wieczora nie stanie na nogi, zarżniesz ją. – Andrzejek kiwnął głową, popatrzył ze smutkiem”.

Ile mogło być podobnych sytuacji, kiedy jedynym rozwiązaniem okazywało się do-  
bicie umęczonego zwierza? Zapewne niemało i zapewne nikt też zbyt nie przeżywał  
takich wypadków. Cóż znaczy kilkanaście czy kilkadziesiąt uśmierconych z koniecz-  
ności krów, jeśli ma się do utrzymania czterysta, sześćset albo i więcej?

Ranczo w Wilczej Dolinie funkcjonowało zaledwie przez jeden letnio-jesienny sezon  
1959 roku. Przewinęło się przezeń kilkudziesięciu pastuchów, paru zootechników i we-  
terynarzy, z pięć kobiet gotujących w Kalnicy obiady, garstka dziennikarzy oraz kilku  
przygodnych wędrowców. Jeden z nich pisał do przyjaciela: „Przez Stężnicę doszedłem  
do Baligrodu. W gospodarze nieśmiertelny pasztet luksusowy – obrzydliwe świństwo.  
Poszedłem więc górami dalej, do Roztok Dolnych, a stąd podłą szosą do Kalnicy. Kie-  
rownik Rancza – redaktor M., okazał się moim byłym szkolnym kolegą, tyle że po 11  
latach zdążył mnie prawie zapomnieć. Szczery jak dawniej, chciał, bym się z tydzień  
zatrzymał. Mnie tam nic nie bawiło – nawet radio [było w świetlicy, gdzie mieściła  
się także skromna biblioteczka – KP]. Domy w gnoju. 900 krów w różnych miejscach,  
22 kowbojów i 13 koni, z których tylko 6–7 nadaje się do jazdy. Krowy marne, trochę  
mlecznych. Ludzie jadło gotowane jadają rzadko – mniej więcej raz na trzy dni. Przyszli  
magistrowie tudzież inżynierowie nie śpią całe noce, bo nagminnie ginie im bydło,  
którego szukają aż pod Chryszczatą. Łażą w gumiakach i waciakach, toną w błocie”.

W kolejnych latach, również z inicjatywy tygodnika „Dookoła Świata”, próbowano  
reaktywować studenckie wypasy bydła, jednak nie zdołano wykrzesać tyle zapалу, ile  
wcześniej. Trochę szkoda, myślą zapewne dawni kowboje, ale najważniejsze, że przeszli  
do historii. Po nich już nikt nie podjął się podobnie karkołomnego zadania.



# Tęcza nad Tworylnem

Jedna z urokliwszych dolin w Bieszczadach miała zostać kupiona przez międzynarodowe stowarzyszenie, które chciało zbudować w niej wioskę ekologiczną. W ciągu dwóch, może trzech miesięcy zebrano osiemdziesiąt tysięcy dolarów.

Wśród wysokich traw spacerowała naga do pasa kobieta. Młody mężczyzna z długimi włosami wygrywał rytmy na tam-tamie. W cieniu pod wiązami leżała para i w milczeniu wpatrywała się w niebo. Ktoś odprawiał modły, ktoś rozczyniał ciasto na chleb, ktoś gotował strawę. Uśpiona od końca wojny wieś znowu ożyła.

Dawno już nie palono tyłu ognisk, dawno duchy zmarłych Bojków nie słyszały takiego gwaru, dawno żadne dzikie zwierzę nie musiało wyostrzać swoich i tak czułych zmysłów. Kim byli ludzie, którzy w lipcu 1991 roku, niesieni politycznymi zmianami w Europie Wschodniej, zjechali tłumnie do Tworylnego pomalowanymi w esy-floresy, kwiaty i pacyfy furgonetkami, autobusami, okazjami? Co chcieli osiągnąć, na co zwrócić uwagę? Ci obcy odziani w kolorowe szaty, w opaskach na czołach, w dredach; taszczący bębny i flety, totemy, siekiery, sztychówki, garnki?

Rok wcześniej spotkali się w Austrii. Zgodnie z tradycją musieli ustalić miejsce kolejnego zlotu i zacząć przygotowania. Padło na Polskę. – Po raz pierwszy mieliśmy zjechać do kraju postkomunistycznego, więc wszystkim bardzo się to spodobało – wspomina Henri Schumacher, niemal dwumetrowy, chudy jak tyczka Niemiec, który odegrał jedną z ważniejszych ról w organizacji bieszczadzkiej imprezy.

Zaledwie dwa lata wcześniej Polska wyłoniła się zza żelaznej kurtyny. To dlatego zaraz potem złaknieni kontaktu z wolnościowymi ruchami na Zachodzie młodzi Polacy tłumnie pociągnęli pod Wiedeń. Rainbow Family była otwarta na nowych zwolenników, zwłaszcza z upadających jeden po drugim demoludów. W Rodzinie Tęczy wszyscy mieli równy głos, każdy mógł mówić, co chciał, i wyznawać dowolną religię. Ale to, co najbardziej łączyło ludzi z tego kręgu, wiązało się z szeroko rozumianą naturą.

– Chcieliśmy w pokojowy sposób, choć mocno i wyraźnie, zwracać uwagę opinii publicznej na zagrożenia związane z niszczeniem planety – tłumaczy Schumacher. – Nasi ludzie w Europie i za oceanem angażowali się w protesty przeciwko budowie elektrowni atomowych, nadmiernemu wycinaniu lasów, zatrutowaniu ziemi i rzek megatonami chemikaliów. Staliśmy się rozpoznawalni w świecie.

W krajach satelickich Związku Sowieckiego i w samym ZSRR ruch Rainbow znany był dość mgliście, jednak wraz z transformacją ustrojową otworzyły się kanały



Takim wozem na zlot Rodziny Tęczy przyjechała grupa Holendrów

Fot. Andrzej Borowski /  
ze zbiorów Izy Cichej

komunikacji. Nadzwyczaj sprawnie działająca poczta pantoflowa spowodowała, że na dziewiąty w historii zjazd wybierały się do Polski tysiące. Jeszcze wiosną 1991 roku w Krakowie powołano nieformalną grupę mającą przygotować zlot. – W kilkanaście osób, w międzynarodowym składzie, wyruszyliśmy w Bieszczady – pamięta Schumacher. – Nikt z nas wcześniej tutaj nie był; jechaliśmy z nutką niepewności, co znajdziemy i jak zostaniemy przyjęci.

Andrzej Borowski mieszkał wówczas w Wołosatem. Interesował się przyrodą, współpracował z Bieszczadzkiem Parkiem Narodowym. To on namalował logo parku z głową rysia. Blisko mu było do hipisów, ekologów, artystycznej cyganerii. Wysłannicy Rodziny Tęczy trafili właśnie do niego. – Zapytali, czy pomógłbym im znaleźć miejsce na wielką imprezę. Dlaczego nie? Jeszcze tego samego dnia ruszyliśmy w teren, objeżdżając najbardziej malownicze rejony. Wszędzie im się podobało, ale kiedy dotarliśmy do Tworylnego, stanęli jak wryci.

– Zakochałem się w tej dolinie od pierwszego wejrzenia, niczym w dziewczynie – uśmiecha się Henri. – Nie chcę pozować na jakiegoś maga, ale emanowała niezwykłą mocą, miała wręcz magnetyczne przyciąganie.

Ale oprócz rozległej doliny, mogącej pomieścić parę tysięcy ludzi, potrzebna była także zgoda lokalnych władz. A te, kiedy dowiedziały się, że Rodzina Tęczy upatrzyła sobie Tworylne, powiedziały „nie”. Wójt gminy Czarna Władysław Podraza przeląkł się, że na podległym mu administracyjnie terenie obcy zostawią pobojoywisko, niechętna lokalizacji zlotu była również dyrekcja Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Ówczesny szef BdPN Wojomir Wojciechowski taktownie dał do zrozumienia, że organizatorzy Rainbow powinni poszukać sobie innego miejsca. Choć bowiem Tworylne nie leżało w granicach parku, to jednak stanowiło jego naturalną otulinę.

Schumacher: – Pojechaliśmy nad górny San, piechotą dotarliśmy aż do Sianek. Też było ładnie, ale pod samą granicą, co już niemal wykluczało organizację zjazdu. No i miejsce

Plenerowa kuchnia – jeden z uczestników miesza zupę warzywną w wielkim kotle

Fot. Andrzej Górski



nie miało tego ducha, którego poczuliśmy w Tworylnem. Chcąc odpocząć, rozłożyliśmy się na brzegu rzeki i w tej samej chwili z drugiej strony jak spod ziemi wyrosli sowieccy żołnierze. Byli przyjaźnie nastawieni, uśmiechali się. Pomachaliśmy im, a oni nam odpowiedzieli. Coś do nas pokrzykiwali, ale nie rozumieliśmy, bo wiatr zagłuszał głosy. Wtedy Andrzej w kilku sprawnych skokach wdrapał się na nadbrzeżne drzewo, żeby stamtąd kontynuować konwersację. Może nawet by mu się udało, tyle że gałąź, której się uczepił, jęknęła, trzasnęła i Jędrzek znalazł się w wodzie. Przeszedł kilka kroków, a wtedy jeden z radzieckich pograniczników zdjął buty i zrobił to samo. Spotkali się pośrodku wąskiego w tym rejonie Sanu. Andrzej wyciągnął zza pazuchy francuskie papierosy. Zapalili, porozmawiali, a potem zaczęli się ścisnąć. To był niesamowity widok, dlatego spontanicznym odruchem stanęliśmy obok siebie i wyciągnęliśmy ręce w kierunku granicy. Rosjanie natychmiast poszli za naszym przykładem. Tak oto utworzyliśmy pomost z ludzkich rąk nad żelazną kurtyną. Pewnie parę lat wcześniej taka sytuacja byłaby niemożliwa, ale wiosną 1991 roku Związek Radziecki już się chwia, a w grudniu przestał istnieć.

Rodzina Tęczy nie odpuściła Tworylnego. Po kolejnych, tym razem pomyślnych rozmowach z Wojomirem Wojciechowskim przyszła pora na spotkanie z samorządem Czarnej. – Pojechaliśmy dużą ekipą, chyba z dwadzieścia osób – opowiada Borowski. – Przyjezdnym z zagranicy towarzyszyli miejscowi zaangażowani w organizację zlotu, w tym Rysiek Krzeszewski. Wszyscy niebanalnie ubrani, na kolorowo, w strojach indiańskich, w długich szatach, niektórzy z pomalowanymi twarzami. W urzędzie musiano na nas patrzeć jak na ludzi z innej planety, ale już w gabinecie u wójta atmosfera się rozluźniła. Podraza okazał się sympatycznym, ciepłym człowiekiem. Jasno wyłuszczył swoje obawy dotyczące naszego pobytu w Tworylnem – że możemy zadeptać unikatową przyrodniczo okolicę i zostawić tam tony śmieci. Przyjęliśmy te słowa ze zrozumieniem i zapewniliśmy, że po naszym odejściu dolina będzie tak samo żywa i czysta jak przedtem.



Tak zwany biały domek (domek myśliwski) – biuro informacyjne bieszczadzkiego zlotu Rainbow

Fot. Andrzej Borowski / ze zbiorów Izy Cichej

Borowski osobiście wziął na siebie takie zobowiązanie, bo to on sygnował własnoręcznym podpisem dzierżawę terenu. Wciąż jednak nie brakowało osób niechętnie nastawionych do organizacji zlotu. W Zatwarnicy, Chmielu, Dwerniku, Lutowiskach i innych okolicznych wsiach plotka głosiła, że obcy, którzy zjadą tutaj w takiej masie, staną się zagrożeniem dla katolickiej obyczajowości. Napomykano o narkotykach, seksualnych seansach, zahaczających o świat czarnej magii obrzędach. Nawet tak obyta w świecie osoba jak Zofia Komedowa-Trzcińska, mieszkająca podówczas w Chmielu, zaprotestowała przeciwko pobytowi Rodziny Tęczy w Bieszczadach. – Poszliśmy do niej z pokojową misją – wspomina Henri Schumacher – ponieważ zgodnie z zasadami zlotów Rainbow zależało nam na dobrych relacjach z tuziemcami. Pani Zofia przyjęła nas zimno, ale w trakcie rozmowy lody stopniały. W pełni nas zaakceptowała i starała się nawet tłumaczyć innym sceptykom, że nie mają się czego obawiać.

Podobnych spotkań jak u Zofii Komedowej było jeszcze kilka. Miejscowi dowiadywali się, czym jest idea Rainbow, a na koniec, za zachętą „tęczowych ludzi”, wraz z nimi stawali w kręgu i chwyтали się za ręce. Dla tutejszych było w tych scenach coś nienaturalnego, może nawet komicznego, jednak tym znakiem przyjezdni chcieli podkreślić, że nie zamierzają robić nic wbrew woli gospodarzy terenu.

Na dziewiąty zlot Rainbow ciągnęli ludzie ze wszystkich kontynentów. Nikt się nie dziwił, gdy na polskich rubieżach spotykał wszystkie kolory i odcienie skóry; nikomu nie przeszkadzało, że mówiono różnymi językami, a niekiedy narzeczami. Język angielski (a także polski, jako język gospodarza) służył do komunikacji pisemnej na rozwieszanych gdzieniegdzie ogłoszeniach, do bezpośredniej już niekoniecznie – tu nierzadko porozumiewano się po prostu gestami. Uczestnicy bieszczadzkiego mityngu Rainbow pamiętają, że częstokroć przy tym samym ognisku siedziało kilkanaście lub kilkadziesiąt

Nagość nikogo tu nie dziwi

Fot. Andrzej Górski



osób i nie potrzebowały słów, żeby się zrozumieć. Chodziło bowiem o pewien rodzaj wspólnoty duchowej, połączenia poprzez wyznawanie tych samych wartości.

– Przede wszystkim o uczenie się życia w symbiozie z przyrodą – tłumaczy Henri – a także o zasady wzajemnej pomocy, wspólnej sakwy, pracy dla dobra ogółu zarówno w tym miejscu, jak w każdym innym pod dowolną szerokością geograficzną.

Izabela Cicha, która przez kilka dni koczowała w Tworylnem z kilkutygodniowym synkiem, opowiada, że została urzeczona atmosferą Rainbow. – Nikt nikomu niczego nie żałował, wszyscy dzielili się jedzeniem, byli dla siebie uprzejmi i mieli równe prawo głosu w każdej omawianej sprawie. Do Tworylnego nie jechano po to, żeby coś ugrać, coś załatwić albo zarobić. Taki styl życia i zachowania musiał wielu fascynować.

– Niezwykłe było też to, że nikt nie wstydził się nagości – wspomina Robert Turski. – Kto chciał, chodził sobie, jak go pan Bóg stworzył, od dzieci po dorosłych. No ale jak się na wsiach ludziska dowiedzieli, że w Tworylnem siedzą nagusy, zaraz pobiegli tam z lornetkami. Godzinami siedzieli w krzakach i podglądali kobiety.

– To jeszcze nic – śmieje się Andrzej Borowski. – Początkiem lipca, kiedy cały tęczo- wy tłum dopiero walił w kierunku Tworylnego, miejscowi mieli największe kino. Wtedy żar lał się z nieba, więc kto żyw chciał się ochłodzić w Sanie. I akurat w Sękowcu do rzeki wlało jednocześnie ze sto osób. Bez majtek, bez biustonoszy. A po chwili zbiegowisko, chłopcy się ślinią, baby pomstują, zamieszanie jak w ulu. Ktoś wezwał nawet policję, ale nie interweniowała.

– Nie każdy, kto przyjechał do Tworylnego, zaraz zrzucił ubranie. Niektóre kobiety odsłaniały tylko piersi, inne całość. Bardziej wyluzowani mężczyźni chodzili z futami na wierzchu, ci mniej – z jakąś przepaską. Ale w każdym przypadku była to potrzeba naturalna, na zasadzie związku z dziką przyrodą, niezwiązana absolutnie z zachowaniami seksualnymi – wyjaśnia Schumacher.



Przyjechali nawet rodzice z niemowlętami

Fot. ze zbiorów Izy Cichej



Zaplatanie dredów

Fot. ze zbiorów Izy Cichej



Tablica z ogłoszeniami w trzech językach

Fot. Andrzej Górski



Samotny bębniarz w bieszczadzkich trawach

Fot. Andrzej Górski

– Ja przez niemal miesiąc pobytu w Tworylnem nie przespałem się z żadną dziewczyną, mimo że kwaterowałem w namiocie z czterema pięknościami – kiwa głową Borowski, nie mogąc pojąć, jak to było możliwe.

Lecz skoro rozległa dolina zamarłej po wojnie wsi miała w sobie magiczną moc, to wszystko było możliwe. Na przykład to, w jaki sposób Andrzej Borowski nauczył się angielskiego. – Pewnego wieczoru parę osób zapytało mnie, co bym chciał w zamian za pomoc w organizacji zlotu. Odpowiedziałem, że pragnąłbym wreszcie mówić w miarę płynnie po angielsku. Bo do tej pory najczęściej używałem tylko dwóch zwrotów: *okey* oraz *no problem*. Widocznie tak często, że nadano mi ksywę *mister no problem*. Kilka dni później pewien Amerykanin poczęstował mnie dragami. Nic twardego, spokojnie siedzimy, rozmawiamy i on nagle: – Andrzej, ty mówisz do mnie po angielsku! A ja do niego: – Mike, ty mówisz po polsku! Niech ktoś wierzy lub nie, ale od tej pory nie mam problemów z porozumiewaniem się w języku Albionu. Może to zasługa czarodziejskiej mocy Rainbow, a może tego, że jednak swego czasu przebywałem sporo wśród hipisów z Zachodu i osłuchałem się ich języka. Tkwił gdzieś w podświadomości, a potem nagle się uwolnił.

Czy narkotyki były nieodłącznym elementem zlotu Rodziny Tęczy, jak podejrzewali przeciwnicy imprezy? Henri Schumacher zapewnia, że to bezpodstawne oskarżenia, ponieważ oficjalnie wszelkie używki były zakazane. – Nie dam jednak głowy, czy nikt nie brał, bo zapewne tacy się znaleźli. Ale zdecydowana większość nie zapaliła nawet trawki. Dbaliśmy o to, by bieszczadzki mityng nie przerodził się w bezsensowny spęd. I to się nam udało. Nie bez przyczyny spotkanie w Tworylnem uznano później za najbardziej udane ze wszystkich dotychczasowych zlotów.

– Rainbow w Bieszczadach był wydarzeniem wyjątkowym także dlatego, że zaproszono do świętowania i chwaleń przyrody lokalnych włodarzy – dodaje Borowski. – Siedzieliśmy w wielkim kręgu wokół równie wielkiego ogniska i czuliśmy się wspólnotą. Nie istniała bariera pochodzenia, zajmowanego stanowiska, języka, koloru skóry. Dystansujący się wcześniej od nas urzędnicy, leśnicy, samorządowcy zrozumieli, że wszelkie uprzedzenia wynikają ze stereotypów i niewiedzy.

Do Tworylnego ściągnęli nie tylko ludzie prowadzący luźny tryb życia, przedstawiciele wolnych zawodów, ale też lekarze, pisarze, naukowcy, nauczyciele. I mnóstwo innych osób wszelakich profesji, na co dzień pracujących, wychowujących dzieci, udzielających się w rozmaitych organizacjach społecznych. – Niektórzy przybyli w Bieszczady całymi rodzinami, był to dla nich rodzaj wakacyjnego wypoczynku, ale też zakosztowania nieco innego życia, powiązanego ściśle z naturą – przypominają uczestnicy zlotu. – Niesamowite były spotkania z dziką zwierzyną. Bywało, że jelenie czy sarny podchodziły na kilkadziesiąt metrów do namiotowej wioski, a my mogliśmy je obserwować i podziwiać. Wielu z nas po raz pierwszy widziało leśne zwierzęta w naturalnym środowisku i to musiało wyrzucić niezatarte wrażenie. A kiedy pewnego poranka na polanę wyszło stadko żubrów, nie mogliśmy uwierzyć, że jesteśmy świadkami takiego widoku.



Ludzie opuścili namioty i usiedli w kręgu. Czekają na koncert bębnowy

Fot. Andrzej Górski

Nieliczni chodzili na stary greckokatolicki cmentarz. Dopytywali, kim byli dawni mieszkańcy Tworylnego i dlaczego z dużej niegdyś wioski pozostały tylko nieliczne nagrobki i trochę ruin. Niełatwo było im wytłumaczyć historyczne zawilości tych ziem, krwawe konflikty, podziały, przymusowe przesiedlenia. Ale chyba coś zrozumieli, skoro potrafili nad tą czy inną mogiłą wyszeptać modlitwę – ani katolicką, ani prawosławną, jednakże skierowaną do rozumianej podobnie niebiańskiej zwierzchności. Bo na Rainbow modlono się na różne sposoby: klęcząc, stojąc z uniesioną głową i rękami, dotykając czołem ziemi. W milczeniu, w zawodzeniu, w śpiewie, w powtarzanych jak mantra tych samych zwrotach.

Trzy tysiące ludzi w jednej nadsańskiej dolinie. Więcej, niż mieszkało na co dzień w całej gminie Lutowiska. Muszą się myć, jeść, wydalac. A wszystko robić tak, by nie zaszkodzić przyrodzie i nie zostawić po sobie śladu zniszczenia. Henri Schumacher: – Zasady były jasne – nie stosujemy żadnych detergentów i korzystamy wyłącznie z wody w strumieniu. Segregujemy śmieci: osobno plastik, szkło, papier. Potrzeby fizjologiczne załatwiamy w oddalonych od namiotów wykopanych dziurach, a odchody zasypujemy popiołem z ognisk.

Andrzej Borowski: – W istniejącym jeszcze wówczas domku myśliwskim urządziliśmy biuro informacyjne. Oprócz tego w kilku miejscach rozwiesiliśmy plakaty z dwujęzycznymi komunikatami o nakazach i zakazach. Nikt nie mógł powiedzieć, że czegoś nie wie lub nie rozumie. Jak kogoś goniło na stronę, to brał ze sobą popiół i łopatkę, kucał nad dziurą i robił, co miał zrobić. I musiał wyzbyć się wstydu, bo dziury były wykopane co kilkanaście metrów, w dodatku po dwóch stronach ścieżki. Zdarzało się więc, że w bliskiej odległości stękali obcy sobie mężczyzna i kobieta. Czasem budziło to w nich lekkie zaczerwienienie policzków, a czasem niepohamowany śmiech. Sam pamiętam, jak kucałem w trawie, a nieopodal kucała nader



Ćwiczenia podtrzymujące  
sprawność ciała

Fot. Andrzej Górski



urodziwa dziewczyna. Oboje wydawaliśmy z siebie charakterystyczne odgłosy, ale szło się przyzwyczaić...

Pośrodku łąki stało obłożone kamieniami palenisko. To nad nim pichcono jedzenie. W wielkim, czarnym od spalenizny kotle gotowano zupę warzywną, ziemniaki, kaszę – i ani kawałka mięsa. Rodzina Tęczy to wegetarianie, weganie, zwolennicy żywności makrobiotycznej. – Każdy coś ze sobą przywiózł, ale też kupowaliśmy odpowiednie produkty w sklepach i czasami u okolicznych gospodarzy – pamięta Schumacher. – Mieliliśmy również plenerową piekarnię. Bawarczyk Herman zbudował z kamieni i gliny piec; wypiekał w nim chleb z ziarnami zbóż. Zapach i smak tego chleba był tak intensywny i przyjemny, że nie było osoby, która potrafiłaby mu się oprzeć.

– Posiłki stanowiły ważny element bieszczadzkiego zlotu – opowiadają ludzie tęczy. – Jedzono razem, siedząc w kręgu. Nierzadko w tym samym czasie młode matki karmiły niemowlęta piersią. Jak w wielu kulturach, tak i tu wspólne spożywanie obiadu miało ludzi zbliżać. Konsumpcji towarzyszyła rozmowa; rozstrzygano najważniejsze bieżące sprawy, ewentualne spory, podejmowano decyzje dotyczące przeznaczenia jakiejś sumy pieniędzy na dany cel.

Bo pieniądze na zlotach Rainbow należały do wszystkich, do każdego uczestnika z osobna, choćby przyjechał bez grosza. Już na początku każdego mityngu obdarzony zaufaniem ogółu „kasjer” zbierał datki do kapelusza. Potem miał przypilnować, żeby ani jeden dolar, ani jedna marka czy złotówka nie wyparowały z namiotowego sejfu.

– Za sejf służyła zwykła torba – mówi Andrzej Borowski, który dostąpił w Tworylnem zaszczytu zbierania pieniędzy i dochrapał się funkcji strażnika. – Czegóż tam nie było: najwięcej dolców, ale i franki, funty, fenigi, leje, korony, ruble. I cholera wie, jaka jeszcze waluta, bo niektórych nie zdążyłem rozpoznać. Jeden Indianin wrzucił do kasy aż dwa tysiące dolarów, tylko że jak wyjeżdżał, to już nie miał nic na podróż. Na zlocie zadecydowano, że należy mu przekazać pewną kwotę na bilety i jedzenie.



Sielski obrazek na przystanku Rainbow

Fot. Andrzej Borowski /  
ze zbiorów Izzy Cichej

– Jeszcze poważniejsza była sprawa Łukasza, naszego przyjaciela z Czech. Przyjechał w Bieszczady z takim typowo turystycznym plecakiem ze stelażem. W tych aluminiowych rurkach schował pięć czy sześć tysięcy marek. Podobno przemycił je z Niemiec jeszcze przed upadkiem muru berlińskiego. I akurat w Tworylnem, gdzie kradzież była rzeczą abstrakcyjną, ktoś mu ten plecak zwinął. Nikt z Rodziny Tęczy, tego jestem pewien, jednak do wioski w czasie zjazdu przychodzili rozmaici ludzie i komuś ten bagaż Łukasza mógł się spodobać. Przyszedł do mnie roztrzęsiony i zwierzył się, że w stelażu miał majątek. Nikt nie miał wątpliwości, że należy mu odliczyć z głównej kasy odpowiednią sumę pozwalającą wrócić do domu i przeżyć najtrudniejsze dni. Podobnych przypadków, gdy kogoś wspierano finansowo, było więcej. A ten ktoś, kto ukradł plecak z pieniędzmi, być może nigdy z nich nie skorzystał. Nie mógł wiedzieć, że w rurkach leżały zwinięte banknoty.

Borowski przyznaje, że kiedy jako strażnik namiotowego banku spał na wielkiej forsie, a obok miał do pilnowania jeszcze dwie dziewczyny, to przez chwilę poczuł się ważny. Może zbyt ważny, co przeczyło idei życia we wspólnocie Rainbow. Na szczęście, jak twierdzi, w porę sam wielki duch Rodziny Tęczy zesłał mu pomoc. – Rzucaliśmy w kilka osób bumerangiem do celu na drzewie. W pewnym momencie podszedł do mnie starszy Indianin i poprosił, żebym nauczył go rzucać. Pokazałem mu co i jak; wtedy on się zamachnął, mocno cisnął tym bumerangiem, ten zaś odbił i, nawet nie wiem kiedy, wyrzucił mnie w skroń. Padłem jak nieżywy, a gdy oprzytomniałem, ujrzałem nad sobą twarz tego Indianina. Powiedział do mnie: – Wróciłeś, bracie. I wtedy ponownie do mnie dotarło, że jestem na Rainbow, a nie na jakimś zafajdanym festynie; że nie mogę tutaj rządzić, bo tutaj nikt nie rządzi.

Bębny nie cichły prawie nigdy. Przez prawie miesiąc trwania zlotu grano na nich nieustannie, zmieniały się tylko osoby. Nie każdy miał w sobie to coś, żeby wczuć się w rytm, dać mu się ponieść i zapomnieć o bożym świecie, ale nie brakowało samorodków, którzy w lot

Chleb z ziarnami zbóż  
pieczony w piecu  
zbudowanym przez  
przybysza z Bawarii

Fot. Andrzej Borowski /  
ze zbiorów Izy Cichej



chwyтали, na czym polega ta muzyka. A może medytacja. Niekiedy jednocześnie na kilkunastu tam-tamach wygrywano rytmy rodem z odległych krain, które w jakiś przedziwny sposób przetrwały w pamięci kolejnych pokoleń ludów plemiennych Afryki, Azji i obu Ameryk. Innym razem bębny grały pojedynczo – w zaciszu wigwamów, na śródleśnej polanie, przy tłącym się ledwie ognisku. Niezmiernie jednak wzbudzały zaciekawienie – także tubylców, którzy musieli przyznać, że nawet jeśli nie zawsze podobał im się ludzie tęczy (ze względu na zachowanie, ubiór lub jego brak), to koncerty bębnowe, przy udziale fletów, gitar akustycznych, wystruganych z drewna puszczalek, niosły ze sobą magię i zachwyty.

Gdzieś w połowie mityngu do Tworylnego przyjechała grupa skinheadów. – Dowiedzieli się, że w Bieszczadach przebywają długowłosi, w tym także geje, więc uznali, że nadarza się doskonała okazja do zadymy – wspominają uczestnicy przystanku Rainbow. – Łysi, w buciorach do tydek, z groźnymi minami, gotowi napierdalać każdego, kto nawinie im się pod rękę. Ale stała się rzecz przedziwna. Akurat wtedy trwały warsztaty bębnowe, zaśłuchali się i jak ręką odjął przeszła im ochota do bijatyki. Nie dość, że zapisali się na te warsztaty, to jeszcze potem pomagali nam w prowadzeniu plenerowego przedszkola. No zwyczajnie, pilnowali dzieci, a uśmiech nie schodził im z twarzy. Znowu zadziałała moc doliny Tworylnego.

Zlot Rainbow w Bieszczadach trwał niespełna miesiąc. Przez ten czas wszyscy ludzie tęczy siedzieli bez zameldowania w strefie nadgranicznej i nikt ich o nic nie pytał. Jeszcze dwa lata wcześniej coś takiego byłoby nie do pomyślenia; Polska Ludowa nie pozwoliłaby na zjazd tylu – jak ich często określano – dziwaków, ćpunów, szaleńców, psycholi. Nawet jeśli mieliby to być sami swoi, czyli Polacy, i ewentualnie grupy z zaprzyjaźnionych krajów obozu socjalistycznego.

– Wbrew lękom i obawom władz zostawiono w Tworylnem idealny porządek – mówi Izabela Cicha. – Wszystkie śmieci posegregowano i wywieziono, co w Polsce było rzadkością, zaś na zachodzie Europy i za oceanem normą.



Chwila zadumy pod dachem z łopianów

Fot. Andrzej Borowski / ze zbiorów Izy Cichej

Henri Schumacher: – Przed odjazdem kupiliśmy nawet trochę roślin, porostów i mchów, żeby posłużyły do odnowień przyrody. A w miejscu palenia ognisk ułożyliśmy świeżą darni, podobnie jak na wydeptanych ścieżkach do lasu. Takie postępowanie było dla nas oczywiste, tak kończył się każdy przystanek Rainbow Family, niezależnie od miejsca organizacji.

– Bałagan zrobił się dopiero po wyjeździe większości ludzi – zwraca uwagę Robert Turski. – Otóż zostało w Tworylnem kilkudziesięciu zagubionych, niezwiązanych ideowo z ruchem Rainbow, którzy nie mieli co z sobą zrobić. Koczowali tu, snuli się po okolicy, narobili trochę głupot. I tę sytuację wykorzystali później przeciwnicy bieszczadzkiego zlotu Rodziny Tęczy. W prasie opublikowali parę artykułów szkalujących ten pokojowy ruch, ukazujących w krzywym zwierciadle jego ekologiczne przesłanie i tolerancję dla inności.

Tuż przed zakończeniem polskiego zlotu Rainbow postanowiono, że należy wykupić dolinę Tworylnego, a następnie zapewnić jej ścisłą ochronę. W tamtym czasie obszar ten był również w orbicie zainteresowania Lasów Państwowych – rzadko gdzie znajdowały się tak dogodne tereny łowieckie, obfitujące w zwierzynę płową i drapieżniki. Zderzyły się więc dwie zupełnie odmienne koncepcje. – Były nie do pogodzenia, ale mieliśmy nadzieję, że to my wyjdziemy z tej batalii zwycięsko – wspomina Andrzej

Borowski. – Założyliśmy fundację Workshop for the Rainbow Culture (Pracownia Kultury Tęczy), która miała się zająć zbieraniem pieniędzy potrzebnych na przejście Tworylnego. Wieści o naszych planach rychło rozniosły się po świecie, w ciągu kilku miesięcy zebraliśmy osiemdziesiąt tysięcy dolarów!

Trwały negocjacje – z władzami gminy Czarna, Nadleśnictwem Lutowiska, Bieszczadzkiem Parkiem Narodowym. – Przekonywaliśmy, że Tworylne powinno pozostać wolne od gospodarki łowieckiej – mówi Henri Schumacher – a wykorzystane do obserwacji przyrody i badań naukowych. Niby słuchano naszych argumentów, jednak chwilami odnosiłem wrażenie, że nie do końca poważnie.

W sprawę zaangażował się nawet wicewojewoda krośnieński Adam Pęziół, próbujący namówić do przejścia Tworylnego Bieszczadzki Park Narodowy, ale ostatecznie to leśnicy postawili na swoim. – Dolina Tworylnego znalazła się pod administracją Nadleśnictwa Lutowiska z tej racji, że w tamtym czasie nie byliśmy zainteresowani poszerzeniem granic parku – nie ukrywa Wojomir Wojciechowski. – Lasy nie musiały wyklądać pieniędzy, dostały grunty za darmo od Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa.

Borowski: – To nas podłamało, a na dodatek z konta mieszczącej się w Rzeszowie Pracowni zaczęły znikać pieniądze. Pełniłem w niej funkcję wiceprezesa, jednak na co dzień mieszkałem w Bieszczadach, więc nie o wszystkim zapewne wiedziałem. Mimo to udało mi się rozwiązać tę fundację i odzyskać większość z zebranych pieniędzy. Trafiły z powrotem do wspólnej kasy Rainbow Family, choć niesmak po przepuszczonych dolarach pozostał.

\*\*\*

W 1992 roku Tęczowa Rodzina ponownie zagościła w Polsce. Stało się tak po raz pierwszy w historii organizowania międzynarodowych zlotów. Dotąd nie łamano zasady „jeden mityng w jednym kraju”, dlatego zatem zdecydowano się odstąpić od tradycji? – Doświadczenie Tworylnego było tak wyjątkowe, że każdy chciał je przeżyć powtórnie – twierdzą osoby zrzeszone w ruchu. – Ale skoro nie mogliśmy wrócić w Bieszczady, to wybraliśmy Beskid Niski.

Polany Surowiczne były podobnie malownicze i równie uśpione jak Tworylne. Przeszły tę samą drogę: przymusowe wysiedlenia, grabież, palenie domostw, zapomnienie. Chyba dlatego ludzie tęczy, kierowani instynktem albo – jak przekonują – przez ducha Rainbow, zdecydowali się rozłożyć namiotową wioskę właśnie w tym miejscu. Lecz ledwo rozbili wigwamy, ledwo urządzili kuchnię, a już kazano im się wynosić. Podobno nie mieli pozwolenia od samorządu, podobno nie skonsultowali pobytu w Polanach z okoliczną ludnością. Przyjechała policja, dała tęczowym dzień na wyjazd. Dopiero interwencja u wojewody w Krośnie uratowała zlot.

– Pojechaliśmy w kilkanaście osób, wszyscy wymalowani, przystrojeni, jak rok wcześniej w Czarnej – uśmiecha się Andrzej Borowski. – Wojewoda okazał się równym gościem, ale nie ukrywał, że nie może podważać decyzji samorządu. I już na pożegnanie

podpowiedział, że może jakimś wyjściem byłaby zmiana nazwy imprezy i załatwienie od nowa potrzebnych formalności. Tak wymyśliliśmy Święto Przyrody, dzięki czemu mogliśmy wrócić do Polan i gospodarzyć przez trzy tygodnie.

Jedną z około dwóch tysięcy uczestniczek przystanku Rainbow w Beskidzie Niskim była malarka Ewa Ciepielewska. Przyjechała z mężem i dwójką dzieci. – Jako zwolenniczka naturyzmu czułam się wreszcie wolna i w odpowiednim miejscu. Mogłam bez problemu spacerować godzinami po łąkach, bez jednego fatałasza na sobie, i mieć pewność, że nikt nie zwróci mi uwagi. Zresztą w Polanach niemal wszyscy chodzili nago; o ile pamiętam, to jedynie ksiądz Arkadiusz Szpak, opiekujący się narkomanami i ludźmi po przejściach, nie zrzucił gatek. Nikt o to nie miał pretensji, bo jako duchowemu może mu nie wypadalo.

Jak w Tworylnem – grały bębny, flety, gitary; ktoś uchylał rąbka wiedzy z zakresu jogi, ktoś medytował w zaciszu indiańskiego tipi, ktoś w ukryciu palił jointa. Tworzono kręgi i modlono się do stwórcy; cieszone się słońcem, nie narzekano na deszcz; poznawano tajemnice przyrody i ludzkiej psyche. Było się nawzajem dla siebie i było się sobą.

– Ale ten zlot nie był już tak udany jak bieszczadzki, nie miał tej szczególnej magii – twierdzi Henri Schumacher. – Najechało się rozmaitych ludzi nierozumiejących ani naszych przekonań, ani naszego postępowania. Okoliczni początkujący biznesmeni poczuli możliwość szybkiego zarobku i rozłożyli się z budkami w pobliżu namiotowej wioski. Handlowali kiełbasą, kurczakami, popcornem, piwem, coca-colą. Patrzyliśmy na to ze smutkiem i żalem.



Trzecia, najnowsza i zarazem ostatnia część niezwykle popularnych reportaży o Bieszczadach autorstwa Krzysztofa Potaczały. Zbiór ilustrowanych opowieści spiętych klamrą lat 70., 80., a nawet sięgającą niekiedy nieco poza peerelowską rzeczywistość.

Historie, których próżno szukać w powszechnie znanej literaturze, pokazujące ludzi i wydarzenia, bez których Bieszczady byłyby uboższe. Przywołane z zakamarków ludzkiej pamięci i pożółkłych już nieco kart historii opowieści o kwaterze Klanu Kowbojów i Trampów spod Baliogrodu, o „kolczastej” granicy strzeżonej sierpem i młotem, o skazanych z więziennych Oddziałów Zewnętrznych, o żołnierskim trudzie budowania wąskotorowej kolejki, o samotnych wędrownkach żubra Pulpita czy o przystanku Rainbow Family w Tworylnem pozwolą zobaczyć Bieszczady, jakich już nie ma – pachnące dzikością i wolnością.

*Bieszczady w PRL-u 3* to dwanaście soczystych, przyprawionych szczyptą humoru reportaży o prawdziwym, bieszczadzkim życiu.